
Trup – jest!
Humor – jest!
Wartka akcja – jest!
Dowcipne dialogi – są!
Czego chcieć więcej?
Książka, obok której
nie można przejść obojętnie.
Polecam.
Alek Rogoziński
ŚMIERĆ
na OSIEDLU
flow
MARCIN B. ŁUKASIEWICZ

ŚMIERĆ na OSIEDLU



MARCIN B. ŁUKASIEWICZ

ŚMIERĆ na OSIEDLU



flow

Projekt okładki i ilustracji:
Piotr Sokołowski

Ilustracje w książce na podstawie okładki:
Andrzej Lademann

Redakcja:
Karolina Tuszyńska

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Korekta:
Karolina Tuszyńska i Anna Żochowska

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.
Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I, Gdańsk 2026

Copyright © 2026 by Marcin Bartosz Łukasiewicz
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-186-7

Druk i oprawa:
Abedik SA

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl

Beacie, Maxowi, Emmie i Żelce



PROLOG

Martwe ciało spoczywało na ławeczce w samym środku osiedla. Zamiast wywołać panikę, wzbudziło nieco inne uczucia. Odrazę. Obrzydzenie. Nienawiść.

Dokładnie takie same emocje, jakie zamordowany wzbudzał w mieszkańcach osiedla za życia.

Zygmunt Baranowski po śmierci wyglądał godnie. Godniej niż przez ostatnie kilkanaście, może nawet kilkadziesiąt lat. Godności dodawał mu fakt, że – inaczej niż przez wspomniane kilkanaście ostatnich lat – akurat nikomu nie groził, na nikogo nie krzyczał, nie znęcał się i nie próbował zastraszyć. Na twarzy miał taką minę, jak zawsze: pokazującą wszystkim wokół, że życie jest ciągiem cierpień, które nigdy się nie kończą.

Tu akurat Zygmunta spotkała niespodzianka. Jednak się skończyły.

Ciężko stwierdzić, kiedy jego ciało spoczęło na ławeczce. Prawdopodobnie policja w toku śledztwa będzie starała się to ustalić. Naturalnie zostanie skrytykowana za powolne i nieskuteczne działania, bo mieszkańcy osiedla dojdą do wniosku, że policjanci przez cały dzień zajmują się wyłącznie jedną sprawą. Tak jakby nie mieli

papierów do wypełnienia, zeznań do zebrania (w ostatnim kwartale zginęły aż cztery rowery, więc należało w tej sprawie przepytać kilkadziesiąt osób) i kawy do wypicia.

Zygmuntowi, który policjantów znał bardzo dobrze, było to już obojętne.

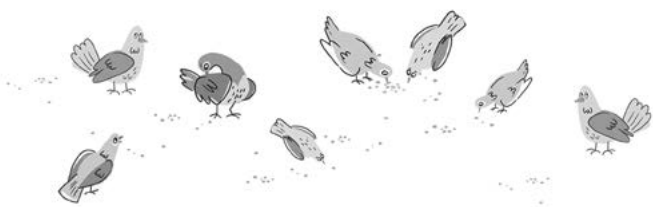
Prawda wyszła na jaw dopiero koło czwartej. A może piątej? Dość rzec, że okoliczne dzieciaki, początkowo wystraszone obecnością Zygmunta, wolały zmyć się z piłką i pograć kawałek za blokiem. Kiedy jednak mężczyzna uparcie siedział na miejscu, nie reagując w zwyczajowy dla siebie sposób, mobilne boisko najpierw przemieściło się z powrotem na trawnik przed klatką, a później zbliżało się sukcesywnie do placu zabaw. W końcu kopnięta zbyt mocno piłka wymknęła się spod kontroli, lecąc w kierunku Zygmunta.

Dzieci krzyknęły, ale było już za późno.

Truchło pana Zygmunta przyjęło piłkę prosto w cymbał, i to z takim impetem, że jasnoszary kaszkiet zleciał na ziemię. Zarówno małoletni piłkarze, jak i wszyscy ci, którzy akurat byli w okolicy, wstrzymali oddech.

Zygmunt nie wydał z siebie nawet najmniejszego dźwięku. Powoli zsunął się z ławeczki i wyrżnął głową prosto w rozgrzebaną ziemię, która szpeciła okolicę po grabieżczej rozbiórce chodnika.

I dopiero wtedy stało się jasne, że już nie oddycha.





ROZDZIAŁ 1

— TERAZ —

– Haniu, kochanie, co to za zbiegowisko? Co tam się dzieje?

Hania popatrzyła na starszą sąsiadkę oczami pociągniętymi ciemnym eyelinerem. Pociągniętymi stanowczo za mocno, jak na gust jej ciotki. Sprawa oczu wkrótce jednak zeszła na drugi plan, kiedy dziewczyna wróciła do domu z przekłutym nosem. Z awantury, która przewaliła się po tym przez mieszkanie numer sześć, może obie nie dowiedziały się niczego nowego, ale za to obie na zupełnie nowy, bardzo głośny sposób. Ciotka Hani miała świadomość, że nie jest matką dziewczyny, ale wcześniej nikt nie artykułował tego faktu w taki sposób. Sama Hania oczywiście wiedziała, że jest niepełnoletnia i nie może o sobie decydować, ale zazwyczaj nic sobie z tego nie robiła.

Poza tym była już prawie dorosła. Miała siedemnaście lat. Właściwie ponad siedemnaście. Prawie osiemnaście. Kilka dni i jej życie będzie należeć tylko do niej. Już zawsze.

– Haniu?

Dziewczyna poczęstowała bardzo ładnym uśmiechem panią Ewę, starszą sąsiadkę spod jedynki. W oczach nastolatki prawie wszyscy dorośli byli beznadziejni, ale pani Ewa stanowiła jeden z chlubnych wyjątków.

– Widziała pani dzisiaj tego idiotę Baranowskiego… – zaczęła, szukając odpowiednich słów.

– Zygmunta? Siedział nieopodal, na ławeczce. Przy rozebranym chodniku. – Staruszka westchnęła. – Ale coś cichy był, cholercia, jak na niego.

– Długo siedział?

– Będzie od rana. – Pani Ewa się zamyśliła. – Ale czemu pytasz? To ma coś wspólnego z tym zbiegowiskiem?

– Otóż tak – parsknęła Hania. – Bo widzi pani, te wszystkie krzyki to dlatego, że Zygmunt nie żyje.

– Nie żyje?… Ale dopiero co tam siedział!

– Raczej spoczywał – rzuciła nastolatka z właściwym dla swojego wieku okrucieństwem.

– To znaczy…

– …że nie żyje już dłuższą chwilę.

– Cholercia. To by tłumaczyło, czemu nikomu nie groził – powiedziała pani Ewa, po czym lekko spąsowiała. – Nie miałam nic złego na myśli.

– Gdyby żył, to pewnie by panią pozwał – dodała Hania.

– Do trzech razy sztuka. Dwa razy oddalili mu pozew. – Staruszka uśmiechnęła się nieśmiało.

– Dwa razy? – Hania gwizdnęła. – Nas pozywał tylko raz. Poza tymi zbiorowymi, oczywiście.

– Tych to nawet nie liczę! – Staruszka machnęła dłonią. – Ale nieważne. Co tam się stało? Jakiś wylew? Udar? Zawał?

– Bo ja wiem?

– To nie ma na co czekać! – fuknęła pani Ewa. – Chodźmy zobaczyć. Wszyscy i tak tam są.

Staruszka pospieszyła po schodach i wyszła z budynku. Nastolatka popatrzyła za nią, wzruszyła ramionami i bez wysiłku ją dogoniła. Wyciągnęła z kieszeni papierosa i zapaliła, zaciągając się chciwie dymem.

– Paskudny nałóg, Haniu – zmitygowała ją pani Ewa, ale dziewczyna się tym nie przejęła. – Co mi przypomina… cholercia – dodała staruszka – zapomniałam swoich z domu…

Nastolatka parsknęła i podsunęła swoją paczkę staruszce.

– Do zwrotu – zażądała twardo, ale minę miała rozbawioną.

– Jakiego zwrotu, kochanie? Chcesz, żeby twoja ciotka mnie wypatroszyła, że cię w papierosy zaopatruję?

– Ma pani wyższą emeryturę niż ja wypłatę. Więc, niezależnie od ciotki, do zwrotu.

Staruszka machnęła ręką, jakby opędzała się od muchy.

– Pani się cieszy, że mam zwykłe, a nie podgrzewacz albo vape'a jak wszyscy – dodała Hania.

– Też fakt. No, ale cicho już, kochanie, bo się niczego nie dowiemy.

Zbiegowisko sąsiadów było głośne i niezgodne. Kilkanaście osób stało w półkolu, dwa-trzy kroki od Zygmunta, który wciąż leżał głową w piasku. Nikt nie kwapił się, żeby go podnieść.

– Mówię wam, tu trzeba po policję zadzwonić.

– Policję? A po co? Prędzej pogotowie!

– Pogotowie tu nic nie zdziała. Widać, że nie oddycha.

– Nie zaszkodzi chwilę poczekać, bo go jeszcze odratują.

– Zły człowiek. To był zły człowiek. Sumienie go zabiło.

– Sumienie nie zabija, tylko inni ludzie. Mówię wam, po policję trzeba zadzwonić. Jeszcze się wyda, że tyle z tym czekaliśmy, i wszystkich nas zawiną.

– To może lepiej po pogotowie?

– Pani, po co pogotowie, jak on nie oddycha?

– Trzeba by przeprowadzić re-re-resus…

– Reanimację. Ale mi się nie spieszy. Jeśli sąsiad chętny, to droga wolna.

– A kto go tam wie, co mu się stało? Lepiej się nie mieszać. Jeszcze przeżyje, ale żebro mu pęknie albo coś, i znowu pozew wysmaży. Będzie trzeba becelować, tak się to skończy.

– Panie drogi – wtrącił się pan Adam Mickiewicz, prawnik, który wracał właśnie z kancelarii do domu, ale zobaczywszy zbiegowisko, podszedł zobaczyć, co się dzieje. – Czy pan mu kiedyś musiał coś zapłacić?

– Do trzech razy sztuka – odparł Henryk, który obawiał się becelowania.

– Trzech razy? To chyba nie licząc pozwów zbiorowych! – dodała jego żona.

– A kto by je zliczył!

– Był ten o chodnik…

– …i o parking…

– …jeszcze o mur.

– Drodzy państwo, tak być nie może – ponownie wtrącił się pan Adam. – Mimo wszystko, mamy tu zmarłego. Chociaż… Prawdopodobnie zmarłego – zastrzegł.

– I co? – zapytała buńczucznie żona pana Henryka. – O zmarłym to tylko dobrze, tak? To nie mam za wiele do powiedzenia!

– Nie. Myślę, że zmarłym jest obojętne, jak się o nich mówi – odparł pan Adam. – Po prostu uważam, że rozsądniej będzie wezwać policję. A tymczasem zadzwonię po karetkę.

– No ale po co od razu policję… – zmartwił się Edek, miejscowy pijaczek.

– A choćby dlatego, żeby nam tu zwłoki pod oknami nie leżały i nie śmierdziały! – Niespodziewanie Adama poparła Cecylia, trzymająca za rękę kilkulatka. – Jeszcze się rozłoży, zacznie wydzielać te… toksyny… i nas potruje.

– Prawdziwa trucizna, proszę pani, to jest w szczepionkach! – wtrącił się pan Krzysztof.

Wszyscy zgodnie jęknęli.

– Może nie zaczynajmy tego tematu – załagodziła pani Ewa. – Zgadzam się z Adasiem, trzeba zadzwonić po policję.

– I po karetkę?

– Karetkę już wezwałem. Na wszelki wypadek – dodał pan mecenas, chowając telefon. – A w międzyczasie najlepiej niczego nie ruszać. Wszystko się na pewno szybko wyjaśni.

– On trochę zielony na twarzy – zauważył pan Edek. – Miałem kiedyś kolegę. Udusili go. Wyglądał identycznie.

– Myśli pan, że ktoś go zabił?

Wśród mieszkańców zapadła grobowa cisza. Wszyscy instynktownie odsunęli się od siebie.

– Co za bzdury – powiedział niepewnie pan Adam. – Uduszony człowiek wygląda inaczej. I ma ślady.

– Nie wiemy, czy on nie ma śladów – zauważyła trzeźwo pani Cecylia. – Nikt go chyba dokładnie nie obejrzał. Dostał piłką, spadł z ławeczki i tak leży.

– Cóż – mruknął pan Henryk – ktokolwiek to zrobił, to go nie winię.

– Heniu, co ty gadasz, zaraz zaczną cię o coś podejrzewać! – roztrajkotała się jego żona.

– Mnie? A nie powinni w pierwszej kolejności pytać ich? Obcych?

Mężczyzna machnął ręką w kierunku cichej pary, która stała nieco oddalona od reszty mieszkańców. Wskazany przez Henryka mężczyzna aż rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Przecież… my dopiero z pracy wróciliśmy…

– Daj pokój, Wlad. – Lila, jego żona, westchnęła. – Znowu to samo. Chodźmy stąd.

Para odeszła, ale Henryk krzyknął jeszcze za nimi:

– Morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni!

– Heniu! – Pani Ewa postanowiła interweniować, co ucięło wszystkie rozmowy.

– Ależ…

– Dość.

Żona pana Henryka wyglądała, jakby miała ochotę coś jeszcze dodać, ale mężczyzna ścisnął jej dłoń na widok miny, którą zrobiła pani Ewa.

– Adaś, kochanie, zadzwoń proszę po policję – wydała dyspozycję staruszka. – A ten ambulans by nie zawadził w miarę szybko. Jeszcze nas potem, cholercia, po sądach będą ciągać.

– Przecież oni i tak wpiszą, że to koronawirus, choćby mu sztylet z pleców wystawał! – wrzasnął pan Krzysztof.

– Żadnego nie widzę – odparowała pani Cecylia. – To ja też zadzwonię po karetkę. Tak na wszelki wypadek.

– Nie zamierzam tego oglądać. – Pan Krzysztof odwrócił się i obrażony poszedł do mieszkania.

– Proponuję… – przejęła głos pani Ewa.

– Żebyśmy się rozeszli? – wyrwała się żona pana Henryka. – I przegapili wszystko?

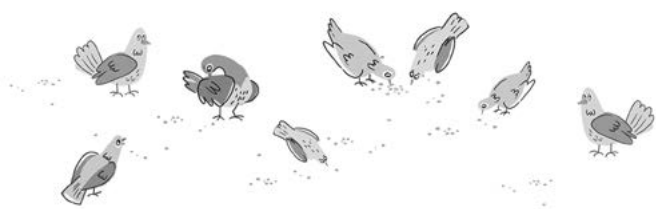
– Alinko, daj spokój…

– Ależ nie. – Staruszka się uśmiechnęła. – Proponuję, żebyśmy tu wszyscy zostali, aż przyjedzie radiowóz. Na wszelki wypadek. Pewnie będą chcieli dowiedzieć się, co się stało. Może przy okazji i my się czegoś dowiemy. Dobrze byłoby wiedzieć, co tu się dokładnie wydarzyło. Prędzej niż z jutrzejszej gazety.

– W internecie szybciej będzie – mruknęła pani Cecylia.

– Być może. Ale jeśli to nie był zawał, udar, wylew…

– …to lepiej od razu wiedzieć – dodał pan Edek i wyciągnął zza pazuchy puszkę piwa.





ROZDZIAŁ 2

— TERAZ —

– Rozejść się. Rozejść się, obywatele. Zróbcie przejście dla funkcjonariuszy. Proszę o przejście. Dla odważnych ludzi, którzy każdego dnia narażają swoje życie, żeby wasze życie pozostało spokojne i bezpieczne…

Dwóch znudzonych policjantów niespiesznie szło za młodzikiem, który ewidentnie szkółkę skończył poprzedniego dnia, a może nawet tego ranka. Chłopak parł do przodu i oprócz wyrzucania z siebie tsunami słów, podejmował też coś, co można było uznać za inicjatywę.

Problem polegał na tym, że zbiegowisko mieszkańców majaczyło w oddali. Wokół policjantów nie było żywej duszy.

– OBYWATELU, DEPCZESZ TRAWĘ. TYM RAZEM PUSZCZĘ CIĘ Z UPOMNIENIEM, ALE WIEDZ, ŻE USTAWOWO MOGĘ NAŁOŻYĆ KARĘ ADMINISTRACYJNĄ W POSTACI MANDATU… – przemówił chłopak przez megafon.

– Zostaw, młody. – Spacyfikował go jeden z policjantów, wyjątkowo zmęczony i doświadczony przez życie dwudziestosześciolatek. – Daj mu spokój.

– Ależ panie sierżancie…

– Młody. Rozejrzyj się. Widzisz tu jakiś chodnik?

Umundurowany chłopak wypełnił rozkaz.

– Melduję, że nie, panie sierżancie!

– A co widzisz?

– Piasek, panie sierżancie!

– A konkretniej?

– Ścieżki z piasku!

– I co dalej?

– Dalej? – Zdziwił się chłopak.

– Ścieżki z piasku, i?

– Ścieżki z piasku, panie sierżancie! – Młodzik się wyprężył.

– Nie o to… – Sierżant westchnął. – Spójrz tam.

– Za znakiem, panie sierżancie?

– Chodzi mi właśnie o ten znak.

– Melduję, panie sierżancie, że jest chyba ze sklejki!

– Doskonałe spostrzeżenie. A co na nim pisze?

– Jest napisane, panie sierżancie!

Policjant warknął cicho.

– CHOD-NIK NA-LE-ŻY DO SPÓŁ-DZIEL-NI MIESZ-KA…

– Młody, normalnie mi to przeczytaj.

– „Chodnik należy do Spółdzielni Mieszkaniowej Stokrotka. Korzystanie przez wspólnotę mieszkaniową surowo wzbronione pod karą…"

– Wystarczy.

– Tak jest, panie sierżancie!

Ostatni z policjantów, do tej pory milczący, mruknął coś niezrozumiale, na co sierżant odparł:

– Mnie też się to nie podoba. Ale zobaczymy. Może cholera go w końcu wzięła. Dość mam już interwencji na tym pieprzonym osiedlu. Jak nie mur, to chodnik albo parking, albo te okna, albo…

Odpowiedziało mu kolejne mruknięcie.

– Rozmowny dzisiaj jesteś, Benek. Tak, nie ma co zgadywać, dopóki nie zobaczymy ciała.

– Panie sierżancie? – wyjąkał chłopak.

– Co się stało, młody?

– Pan sierżant rozumie, co mruczy… przepraszam, mówi starszy posterunkowy Kruszyna?

Kruszyna mruknął.

– Nie bądź taki surowy, Benek. A ty, młody, przyzwyczaisz się. No, a teraz idź i działaj. Niech się odsuną od ciała.

– OBYWATELE…

– Oddaj mi to! – Sierżant sprawnie wyłuskał megafon ze spoconej z przejęcia dłoni młodego. – Normalnie do nich mów, to nie jest wściekła tłuszcza pod sejmem, tylko ludzie. A poza tym…

Policjant urwał, patrząc na tłum. Mimo zbiegowiska udało mu się dostrzec ciało Baranowskiego. Młody odczekał chwilę, jednak był zbyt niecierpliwy, by pozwolić przełożonemu na dłuższą refleksję.

– Panie sierżancie? – zapytał.

– Jest ich więcej od nas. A tu leży trup człowieka, który uprzykrzał im życie przez ostatnie kilka lat.

Obaj policjanci wyraźnie zaczęli się bardziej pilnować. Powoli podeszli do tłumu, wypatrując, czy ktoś nie zareaguje na nich dziwnie. Najmłodszy z ekscytacją zaczął torować im drogę. Wyglądało jednak na to, że pojawienie się funkcjonariuszy wzbudziło raczej ulgę – rzecz praktycznie niespotykaną, bo przy policji – normalnie, prawie każdy mniej lub bardziej widocznie się spinał.

Sytuacja nie była jednak normalna, i to nie tylko z powodu ciała leżącego pod dziwnym kątem.

Kruszyna chrząknął, kiedy w kierunku policjantów ruszyła starsza pani.

– Pani Ewo – powiedział z szacunkiem sierżant.

– Michał! – ucieszyła się staruszka. – Dobrze, że to ciebie wysłali.

– Jak dla kogo. Już miałem kończyć służbę na dziś – zamarudził policjant. – Ale komendant się uparł, że trzeba młodego wyciągnąć, żeby zebrał trochę doświadczenia… wie pani, jak to jest.

– Tak, wiem, jak to jest – potwierdziła pani Ewa solennie.

– Może mi pani powiedzieć, co tu się stało?

– Obawiam się, że wiem tyle, co i ty.

– No dobrze. Młody, sprawdź, czy on jeszcze dycha…

Kruszyna mruknął.

– Co ci zrobię, skoro takie są procedury. Młody, puls sprawdź.

Młody sprawdził.

– Melduję, panie sierżancie, że pulsu nie ma!

– Kontrolę oddechu sobie odpuścimy. Młody, wezwij przez szczekaczkę karetkę.

– Już dzwoniliśmy. – Pan Henryk uśmiechnął się nieszczerze.

– Ale wyście pewnie ratunkową wezwali, a tu potrzebna inna. Młody, ogarnij to. Powiedz, że mamy trupa.

– Tak jest, panie sierżancie! – Posterunkowy ruszył w stronę radiowozu.

– To teraz dalej… – Michał się zamyślił. – Kto go znalazł?

– Cały ranek tu siedział – powiedziała pani Cecylia.

– Ja nie pytam, ile tu siedział, tylko kto go znalazł.

Mieszkańcy zbiorowo wzruszyli ramionami.

– Nie zgubił się, to i nikt go nie znalazł…

– Wyglądał normalnie…

– Nie, nie normalnie, bo się na nikogo nie darł…

– …i nie groził pozwem…

– Dość – uciął sierżant. – Pani Ewo?

– Nie było mnie przy tym. Ale zdaje się, że uderzyła w niego piłka, spadł z ławeczki i się nie ruszał.

– W porządku. Czyja piłka?

Zapadło milczenie.

– Przecież nie będziemy nikogo za to ciągać po komisariatach – dodał Michał. – Po prostu chcę ustalić, jak było.

– Mojego Tomka – przyznała pani Cecylia.

– To jest Tomek? – zapytał policjant, wskazując na dzieciaka, który kurczowo trzymał dłoń pani Cecylii.

– Tak.

– Powiesz nam, jak było?

Chłopiec wbił wzrok w ziemię i pokręcił głową.

– No już, nie bój się – ośmieliła go mama.

– Spokojnie, nie ma się czego bać. – Michał kucnął przy Tomku, zrównując się z nim wzrokiem. – Jeśli będziesz chciał, to później pokażemy ci, jak wygląda radiowóz w środku. Chciałbyś zobaczyć?

Dziecko nieśmiało pokiwało głową.

– I może być z tobą mama, jeśli chcesz.

Tomek energiczniej kiwnął głową.

– Opowiesz, jak było?

– Graliśmy w piłkę. Od rana – wydukał chłopiec.

– Od rana? A szkoła? Ach, no tak, jeszcze wakacje.

– Graliśmy za blokiem, bo ten pan tu siedział. Baliśmy się, że nas skrzyczy.

– To bardzo rozsądnie – pochwalił Tomka policjant. – I co dalej?

– Piłka nam poleciała tu, przed klatkę. Ale ten pan nie krzyczał. A tu lepiej grać, bo jest trochę cienia.

– I tu graliście, tak?

– Tak. Najpierw tam, dalej, a potem tu.

– Dlaczego nie w jednym miejscu?

– No jak to? Cień się ruszał. Ze słońcem, wie pan.

Michał parsknął.

– Mądry z ciebie chłopak. Czyli przesuwaliście się tak, żeby was nie spaliło?

– Tak. I wtedy ktoś kopnął… – urwał chłopiec.

– Tomku, spokojnie. Nie będziesz miał żadnych kłopotów. Ani żaden z twoich kolegów – dodał sierżant. – Któryś z was, nieważne który, kopnął mocniej piłkę. I żaden jej nie złapał, tak?

– Tak. I ona uderzyła w tego pana, który siedział na ławce.

– Gdzie uderzyła?

– W głowę. Tak z tyłu.

– W porządku. A dalej?

– Podbiegliśmy po piłkę, ale ten pan spadł z ławki.

– Jak spadł?

– Do przodu, tak… dziwnie. – Tomek się zastanowił.

– Dlaczego dziwnie?

Chłopiec przez chwilę intensywnie myślał.

– Jak się upada, to się wyciąga ręce, prawda? Żeby się za mocno nie uderzyć. A on upadł tak, jak siedział. Po prostu poleciał do przodu. Ale się nie ruszał.

– Dotykaliście go?

Tomek energicznie pokręcił głową.

– Żaden z was?

Chłopiec zaprzeczył jeszcze energiczniej.

– Wyglądał… dziwnie. Strasznie.

– Jesteś bardzo dzielny. Dziękuję za twoją pomoc. To bardzo ułatwi nam wyjaśnienie wszystkiego – powiedział poważnie Michał. – Później pokażemy radiowóz, dobrze? Musimy tu coś jeszcze ustalić.

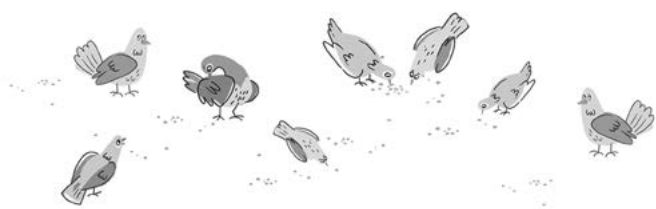
– To może my pójdziemy na obiad – odparła pani Cecylia. – Jeśli to tyle. Pewnie chwilę zajmie, zanim przyjedzie karetka. Wrócimy i poczekamy, aż będzie pan wolny.

– Odprowadzę panią – powiedział pan Adam. – Tak na wszelki wypadek.

– Dziękuję. – Sierżant mimowolnie się uśmiechnął. Kiedy jednak Kruszyna mruknął, po uśmiechu nie został nawet ślad. – Dobra, przyjrzyjmy się tym zwłokom.

Obaj policjanci odwrócili martwe ciało Zygmunta. Jak się okazało, denat leżał na skórzanej aktówce, która przy przesuwaniu zwłok się otworzyła, a jej zawartość wysypała na piach.

– Jasna cholera – zaklął Michał. Wyglądało na to, że jego nadzieje na szybki powrót do domu zostały właśnie pogrzebane.



flow

wydawnictwoflow.pl

Śmierć na osiedlu

Powieść pełna inteligentnego humoru, ciętych ripost i scen, w których absurd codzienności miesza się z intrygą kryminalną.

Komedia kryminalna, która z humorem i lekkością zgłębia relacje i dynamikę osiedlowej społeczności. Nagła śmierć znienawidzonego prezesa spółdzielni mieszkaniowej wywraca codzienność mieszkańców do góry nogami i staje się katalizatorem niespodziewanych przemian. Ujawniane są głęboko skrywane konflikty, sąsiedzkie spory oraz od lat tłumione urazy, sprawiając, że pod pozorem codzienności zaczynają wychodzić na jaw sekrety i dawne niesnaski.

Autor z wdziękiem i przymrużeniem oka obnaża subtelne mechanizmy relacji międzyludzkich, odsłaniając, jak łatwo wplątać się w sieć podejrzeń, a granica między winą a niewinnością potrafi być wyjątkowo płynna i niejasna.

Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka!

To nie tylko rozrywka, ale też trafna obserwacja natury ludzkiej.

Cena: 49,90

ISBN 978-83-8364-186-7



